

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 19 września 1948 r.

Nr 38 (147)

TREŚĆ NUMERU: W. Olszewski — Poezje; J. Makut — Wieś bez kurtyny; J. A. Górski — Koniec królestwa baśni; H. Wojnarowska — Piekno, które ginie; Z literatury dla młodzieży; Nabyć, czytać, nie czytać..., Tydzień kulturalny; M. Markowski — Opera poznańska w Warszawie; W. Pietrzak (Bałk) — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że...

Zygmunt Jakimiak

TĘSKNOTA DO DOMU

SWIADECTWO CONRADA

„...Wracałem do domu, do tego dalekiego domu, w którym i najmniejszy z nas ma prawo usiąść przy ogniu. Tysiącami błądzimy po powierzchni ziemi, zarówno sławni jak i nieznani zdobywając za morskami sławę, pieniądze lub choćby tylko kawałek chleba, lecz wydaje mi się, że powrót do domu jest czymś w rodzaju rachunku sumienia. Wracamy spojrzeć w oczy zwierzchnikom, krewnym, przyjaciółom, tym, których słuchamy i tym, których kochamy. Ale nawet ci, co nie mają nikogo, ci najbardziej wolni, samotni, nieodpowiedzialni, niezależni od jakichkolwiek węzłów — nawet ci, dla których nie ma w domu drogiej twarzy i miłego głosu — nawet oni spytują ducha mieszkającego w ziemi, pod niebem, w powietrzu, na drogach, polach, wodach, wśród drzew, na pagórkach — niemego przyjaciela i sędziego. Mówcie sobie co chcecie, ale żeby w pełni cieszyć się radością domu, oddychać jego spokojem, zgłębić jego prawdę, musi się doń powrócić z czystym sumieniem. Może się to nam wydać zwykłym sentymentalizmem. I naprawdę niewielu z nas ma zdolność zajrzenia świadomie pod powierzchnię rodzinnych uczuć. Są dziewczęta, które kochamy, mężczyźni, którym chcemy dorównać, czułość, przyjaźń, przyjemność... Pozostaje faktem, że musimy brać nagrodę czyścymi rękami, jeśli nie chcemy, by nam się wszystko obróciło w zeschłe liście, w ciernie z chwilą dotknięcia. Myślę, że właśnie samotni, bez własnego ogniska domowego lub przywiązania do czegoś, co mogą nazwać własnym, — wracają nie do mieszkania, lecz do samej ziemi, by spotkać się z jej bezcielesnym, wieczystym, niezmiennym duchem, sądząc, że oni najlepiej rozumieją jego surowość, moc zbawienia, uroki jego prawa do naszej wierności, do naszego postuszeństwa. Tak niewielu z nas to rozumie, ale każdy z nas to czuje, a mówię każdy bez wyjątku, bo ci, co tak nie czują, nie liczą się. Każde źródło trawy ma swe miejsce na ziemi, skąd czerpie swoje życie, siłę; tak samo każdy człowiek jest wkorzeniony w swą ziemię, z której ciągnie swą wiarę wraz z życiem“...

I dlatego to Lord Jim wrócił do swego domu, ale błędził po świecie aż zbłąkał się między dzikusów, gdzie niedorzecznie wystawił się na śmierć. A przecież nie popełnił żadnej zbrodni, po prostu tylko się trochę ośmieszył, najwięcej we własnych zresztą oczach.

O Conradzie dużo u nas piszą i to

niebylegkie pióra, a przecież nikt bodaj nie uchwycił istoty jego postawy. Porzucił swój kraj, porzucił język, wiarę swojej matki — przynajmniej w praktyce kościelnej, która jest istotna (o tym punkcie nie na pewno nie wiem, opieram się tylko na wrażeniu, jakie wyniosłem z lektury jego książek i życiorysu); nie mógł się jednak wyrzec moralności, która głosi, że „nic nieczystego nie wnijdzie do Królestwa Niebieskiego“ i że musi się oddać „ostatni pieniążek“. Cała jego twórczość jest jakby odgłosem tych twierdzeń Ewangelii. Postawa jego jest tragiczna, jak u wielkich pisarzy staro - greckich i jak u wszystkich szlacheckich i kulturalnych niedowiarów nowoczesnych.

O tragizmie można by powiedzieć, że jest on niedorzecznością, zresztą tylko połowiczną, bo można w nim dostrzec przyczyny, można nawet dostrzec skutki, nie można tylko dojrzeć w nim dorzecznego celu. I dlatego właśnie tragizm jest podświadomie niemiły, bo logika domaga się całkowitej jasności. Niedorzeczność tragizmu nowoczesnego jest, należy to zaznaczyć, większa niż starożytnego. Starożytni mieli moralność naturalną. Ale nowożytni poznali potężną, bohaterką, rozszerzoną poza naturę moralność chrześcijańską. Poznali i przyjęli, przyswoili sobie. Tymczasem moralność ta jest u nich tylko czystym nakazem, bo odrzucili nakazującego. Jest abstrakcją, za którą nie ma proporcjonalnej powagi konkretnej osoby. I stąd bezsens, w którym trudno, nieznosnie jest żyć człowiekowi logicznemu.

W chrześcijaństwie nie ma tragizmu. Golgota nie jest tragedią, jest natomiast dramatem o nadnaturalnej skali napięcia i natężenia. I takim dramatem jest życie chrześcijanina, w którym — jakkolwiek wypadki mogą się plątać i mrozić krew w żyłach swym natężeniem i charakterem — wszystko jest w pełni logiczne i jasne, celowe i przy czynowe. Natomiast moralność katolicka bez Chrystusa, bez Jego Matki i Jego Oblubienicy — Kościoła jest tylko smutnym, nielogicznym, nieczym nieusprawiedliwionym szczątkiem niezmiernego, ongiś posiadane i zaprzepaszczonego bogactwa. Myślę, że ta tęsknota za owym bogactwem i niedorzeczność w jakiej żyją szlachetni bezbożnicy, jest dla nich największym cierpieniem. Szkoda ich.

DOM POLSKI

Ale nie o Conradzie ani o tragizmie mam pisać ten artykuł. Zamierzam pisać o tym, co na pozór tylko luźno łączy się z przydługą

cytatą z Lorda Jima. Jakże uderzający jest ten urywek w poplątanej gąszczu przygodach na morzach południowych i w malańskiej puszczy! Nie o angielskim domu jest w tym mowa, choć po angielsku był pisany. Każdy wyczuje w nim, usłyszy sam ton, jaki brzmi w mazurkach Chopina, operach Moniuszki, w „Panu Tadeuszu“ w „Pamiętnikach Soplicy“, w „Płocówce“ itp.

Polski dom, szlachecki, magnacki, czy chłopski lub mieszczański, bez różnicy, posiadał zawsze i posiada swoistą i jedyną w świecie atmosferę spokoju, ciepła, miłości uroku, która potrafiła natchnąć każdego, nawet zagnanych w najdalsze zakątki ziemi, rzewną, gorącą tęsknotą. U Dickensów dom angielski jest niewątpliwie uroczy, np. we „Wspólnym Przyjacielu“ ale dla polskiego czytelnika wozosła nie zawsze obcy, interesujący raczej egzotykiem niż swojskością. Conrad pisze o domu polskim, co jeszcze mocniej uderzy tego, kto czytał „Osobiste wspomnienia“. Jest to chyba najpiękniejsza, najmiłsza jego książka właśnie ze względu na uchwycone i podkreślone uroki i na ciepło domu wuja Bobrowskiego. Jest rzeczą raczej wątpliwą, czy Conrad stworzył sobie i swym dzieciom równie uroczy dom, ze swą angielską małżonką. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że zawsze tęsknił do swego dawnego, polskiego domu, z którego „ciągnął swą wiarę wraz z życiem“ i że przez całe życie zachował czyste ręce i bardzo wymagające sumienie poto, by móc spojrzeć prosto w oczy jeżeli już nie krewnym i przyjaciołom, których nie miał, to przynajmniej duchowi polskiej ziemi.

Oto i temat artykułu. Dom polski dom taki, który przywiązuje swoje dziecko do siebie na całe życie, i wlewa mu zasady moralne, których się nie wyrzeknie nigdy, nawet po opuszczeniu ziemi i języka i wiary. To jest właściwa, naturalna instytucja wychowawcza. Szkoła wychowuje tylko w minimalnym stopniu. Całe to szczęście, jak mówi Chesterton, że dziecko idzie do szkoły dopiero wówczas, gdy cała praca wychowania została już wykonana. Właśnie okres najmniejszego stopnia uświadomienia jest okresem najobfitszego nasłaniania otaczającą atmosferą, okresem, w którym rozwijają się uczucia, podejmowane są decydujące akty wyboru, budzą się zamiłowania i powstają najtrwalsze przywiązania. Wszystko to, cały ten tajemniczy i olbrzymiej doniosłości proces, odbywający się w pod — a raczej w nieświadomości, daje w swych dalszych skutkach obywatela, żołnierza,

ministrów, żony, ojców, matki, mężów, robotników, słowem członków społeczeństwa, bardziej lub mniej pożytecznych. Dom to wychowanie i jak ono kompleks problemów.

KRYZYS DOMOWEGO OGNISKA

A dziś coś się w tej instytucji zepsuło. Przystała przyciągać, narzucać, skupiać, zadawała. Synowie uciekają z domów na zabawy, zebrania, boiska, filmy. Córki trochę później, ale również wcześniej wychodzą z domów, niewiele umiając. Ojcowie wymykają się do knajpy, czy na karty. Matki idą do cukierni, czy teatru. Nikt w domu nie lubi i nie chce być. Jakże w takim razie może on dobrze funkcjonować, skoro się w nim załatwia tylko najkonieczniejsze, elementarne potrzeby naturalne — je się w nim (i to niezawsze) śpi.

Nie ma w domu dzisiejszym żadnej powagi, żadnej prawie organizacji, żadnego wysiłku, współpracy. Dzieci (o ile są) tykają rodziców, nie mają na ogół żadnego szacunku. Są samowolne, leniwe i samolubne. Rodzice nie dbają o dzieci poważnie, traktując je jako zło konieczne. Nie ma szacunku dla starszych, jak babek, dziadków, ciotek itp. Dom dzisiejszy jest zimny i martwy.

Powszechnie panuje przekonanie, że dom jest więzieniem dla kobiety, z którego za wszelką cenę powinna się uwolnić. I uwalnia się. A oto mamy i szybkie rezultaty, boć jest rzeczą jasną, że gospodyni domu jest jego duszą, ciepłem, natchnieniem, sercem, spokojem. Ponieważ kobietę uwalnia się z domu niewoli, cały dom, podstawowa instytucja wychowawcza, przestaje działać, a funkcje jego przejmują instytucje, które przedtem miały tylko drugorzędą, uzupełniającą rolę wychowawczą, jak szkoła, teatr, organizacje, zebrania towarzyskie itp.

Któż z dzisiejszego młodszego pokolenia będzie z tęsknotą i miłością wspominał dom rodzinny, choćby najbiedniejszy tak, jak jeszcze my średnie i starsze pokolenie go wspominali? Wskutek słabości domu mamy dziś taki upadek moralności, kultury i dzielności.

Dobry dom dawał swym wychowankom właśnie dzielność. Dawniej nazywano to cnotą. Do nazwy tej, tak sponiewieranej przez ludzi bezmyślnych, musimy i dziś powrócić. W pojęciu bowiem cnoty mieszczą się dwa ważne elementy charakteru, to jest zdolność połączona z siłą. W tym znaczeniu cnotliwym będzie murarz, szewc i pisarz o ile do zdolności dodadzą się. Dziś, nie-

stety, obserwujemy mnóstwo cudownych dzieci, wiele talentów, wielu obiecujących młodzieńców, a z całego tego bogactwa pozostaje ostatecznie tylko nędza. Zdolnościom, talentom brakuje siły. Dlaczego? Bo jej nie nabyły w jedynym miejscu, w którym ją można nabyć w domu. Siłą tą bowiem jest nie co innego, tylko miłość, zapał, entuzjazm, utrwalaony wola.

U ŹRÓDEŁ ZŁA

Wyda mi się, że główną przyczyną upadku domu jest wynaturzenie głównej sprężyny ludzkiego życia, to jest pojęcia szczęścia. Bo każdy człowiek, jakby nie był, żyje poto właśnie, ażeby być szczęśliwym, dąży do zdobycia jak najwyższego stopnia zadowolenia. Ono jest jedynie ważne dla człowieka. Jest to najbardziej słuszne, godziwe i naturalne. Tylko pojmowanie szczęścia i sposób jego zdobywania mogą być rozmaite i od tego właśnie zależy wartość człowieka i społeczeństwa, kultura i cywilizacja, słowem wszystko, co ludzkie. Otóż w ostatnich czasach zaczęło przeważać płytkie, ciasne, wąskie i powierzchowne pojmowanie szczęścia.

Niestety, narazie poprzestają na ogólnikach, co jest nurzące. Dopiero dalej zobaczymy na przykładach konkretnych, o ile mam rację.

Dla większości ludzi dzisiaj ideałem jest brak trudu i dosyt wygod. Każdy chciałby ożywać w przyjemności a nie znać, co to ciężar i zmęczenie. Nie co innego, tylko takie pojmowanie szczęścia wywołuje wszelkie zło na świecie, a szczególnie ruinę domu. Jest to podstawa życiowa, którą nazwałbym egoizmem minimalnym, bo rozwija osobowość małą, ciasną, płytką, głupią, szkodliwą społecznie. Jednostka taka nie wychowa dzieci dobrze, czy choćby możliwie, nie spełni żadnego obowiązku dostatecznie, będzie miała pretensje do wszystkich o wszystko. Dom na takiej jednostce oparty musi runąć i nikt go żałować nie będzie, a tym mniej tęsknić do niego.

Na innej koncepcji szczęścia winien być oparty dobry dom polski. Można ją nazwać koncepcją egoizmu maksymalnego. Wszystkie jest dla człowieka, ale głównie powinien on żądać tego, co najdroższe i najtrudniejsze, a to, czego zażąda powinien sam zdobyć.

Wychowanek takiego domu nie powinien się niczego bać, nieczym gardzić, przeciwnie, wszystko na świecie powinien zawsze cenić, rozumieć i być zdolnym do wielkich wysiłków. Ciężkie przeciwności powinien znieść jeżeli nie z u e-

Dm 1591 052

Z poezji Wacława Olszewskiego

Uśmiech

Rosa się w słońcu przegląda, wiatr śmiechem łaki targa
— radość rozkwita czwcem na mojej dziewczyny wargach,

uśmiech brązową wiewiórką po pniach brązowych skoczył
— słońce — obłokiem się wspięło ku orzechowym oczom.

Zapach zamknięty w pąkach — słońce przedłuża cieniem
— rzesami się wydłuża uśmiech brązowych żrenic.

Wschodzi kroplami rosy czerwcowych słońce tysiące —
z pąków splecionych dłoni rozkwita — Marysiu — słońce.

Szpital

Coraz bliżej
widnokreśli chył się ku troskom —
spróchniałe wiekami krzyże:

coraj niżej
chyli się Matka Boska
nad mikroskopem, kropłą życia
— nad bakteriami
mniejszymi od ułamków milimikrona
— nad toksynami
naszych doznań.

Windą wysoko w radość
do chirurgicznej sali:
nożyce rozwarłe, jak wieczność,
skalpel, jak dłoń matczyna.
Jodyną smutek wypalić.
Matko Boża — zaczynaj:

otul płaszczem jaśminów —
tych
obnażonych z orderów i wstążek
i tych —
z Ubezpieczalni, z gminu

zaszyj dobrocią
pęknięte wczoraj trzewia
niech w chloroformie rąk twoich
— zapomnę
nie wiem,
że smutkiem dzień wczorajszy broczył,
że tętnice żyły przekleństwem
— gdy w ultramikroskopie
wszystko,
całe moje życie
widziały Twoje oczy.

W sali operacyjnej

Ręce, jak ranek sterylny
i aseptyczne dobrocią.
Mikroby zdechły w bakteriobójczym płynie
— w spojrzeniu oczu

i oto wojenne niedole,
jak laseczniki Kocha
— zginęły siostry w lizolu,
w uśmiechu i w C₂ H₅ O H.

I oto znowu — siostry —
rosną dzieci i domy:
pokój — Appendicitis ostry,
pokój — Appendectomia.¹⁾

Zaciśnij Kocher dobrocią²⁾
i białym pokojem — catgutem³⁾
podwiąż podwójnie smutek,⁴⁾
by więcej wojną nie broczył,

bo krwawią jeszcze włóściczki,
pulsują wojennym echem
— tampon proszę siostrzyczko!
ten steryl, ten z uśmiechu.

Pętla jelita, jak boa śliskie.
Kochery, igły z catgutem!
Popatrz siostrzyczko: szwem się zacis
otrzewna, mięśnie i smutek

Jeszcze klamerki świejące.
Marfanil — spokojny śniezek.
Popatrz: za oknem słońce.
Szczęki choremu — szerzej!⁵⁾

chem to przynajmniej bez narzekania. Nigdy nie powinien posuwać się do oszustwa, do wymigiwania się od przypadającej nań pracy. Na takim człowieku oparty był kiedyś dom polski i tylko taki człowiek mógł stworzyć dom i wychować społeczeństwo dobrych, pożytecznych, twórczych członków.

Wszyscy ludzie, zepsuci wychowaniem na minimalizm, czują swą krzywdę, widzą nieszczęścia, są niezadowoleni i tęsknią do domu o wielkim ideale. Tęsknią do domu i zdają sobie sprawę, że trzeba go odbudować, jeśli człowiek nie ma w ogóle zginać z powierzchni ziemi, pomijając już fakt jego osobistego szczęścia. A i to szczęście nie jest przecież drobnostką. Każdy pragnie ciepła, spokoju, odpoczynku i oddałby wiele, by je nareszcie zdobyć. Jest to reakcja dzieci przeciw ojcom, odwieczne niezadowolenie młodych ze starszych. Ojcowie źle chowali, źle myśleli, źle postępowali. Młodzi im pokazują. Odbudują dom. I nadchodzi pytanie, jak ten dom zbudować, jak go zakładać, by spełnić to, czego się od niego żąda.

Podwaliną i życiem domu jest kobieta. Chrześcijaństwo z niewolnicę zrobiło z niej królową w tym przybytku. Ten właśnie punkt najcięższej zaatakowali wyznawcy egoizmu minimalnego, zarzucając na wszelkie sposoby, przy pomocy najcięższych, ma jakie ich było stać, piór i mózgów, że kobieta w domu staje się ciasna, że za ciężko haruje itp. Posłuchajmy co na ten temat myśli Chesterton.

„Nie mogę” — mówi on — „największym wysiłkiem wyobraźni pojąć, o co im chodzi. Gdy na przykład pracować w domu nazywają harówką, to cała trudność leży w podwójnym znaczeniu tego wyrazu. Jeżeli harówka oznacza tylko strasznie ciężką pracę, to wiem, że kobiety harują w domu jak ludzie harowali przy katedrach w Amiens lub przy armatach pod Trafalga-rem! Lecz jeśli oznacza to, że praca ta jest przez to cięższa, że jest blaha, bezbarwna i małego znaczenia dla duszy, to w takim razie macham ręką. Nie wiem co te słowa oznaczają. Być królową Elżbietą na określonym obszarze, która decyduje o sprzedaży, bankietach, pracy i świąteczu, być Jabłkowskim na określonym odcinku i zaopatrywać w zabawki, buty i prześcieradła, ciastka i książki, być Arystotelesem na pewnym odcinku i uczyć możliwości, obyczajów, ułożenia, teologii i higieny — mogę zrozumieć, że te zajęcia mogą wyzerpywać umysł, ale nie mogę sobie wyobrazić, jak one mogą go ścięsnąć. W jaki sposób uczenie młodszych dzieci reguły trzech może być wielką karierą, a uczenie własnych dzieci małą karierą? W jaki sposób to, że jest się tą samą rzeczą dla każdego ma być szerokie, a to, że się jest wszystkim dla kogoś, ma być wąskie? Nie, zajęcia kobiety w domu jest mozołne, ale dlatego, że jest gigantyczne, nie dlatego, że jest mało znaczące. Będę współczuł pani Jones dla wielkości jej zadania, ale nigdy dla jej małości.”

Tak więc dla założenia domu trzeba najpierw znaleźć, a potem posadzić na tronie jego królową „Arystolesa”, ministra zaopatrzenia. Trzeba się ożenić, a tego znowu nie da się zrobić bez miłości i bez małżeństwa — dwa problemy, których nie sposób pominąć. Wprawdzie o tym rodzaju miłości czytamy się w każdej powieści, noweli, oglądając się tę miłość w kinie, słyszy się o niej na każdym kroku aż do znużenia. Wydawałoby się, że teoria miłości powinna być dokładnie znana każdemu człowiekowi, który

ukończył 16 lat. Tymczasem nie mają o niej pojęcia nawet przeciętnie inteligentni po sześćdziesiątce.

W KRĘGU MIŁOŚCI

Większość zła wśród ludzi wynika właśnie z błędnego poglądu na miłość. Jest to związane z omówionym wyżej egoizmem minimalnym, który zapamiętał powszechnie mniej więcej od czasów Lutra. Rzadko kto dziś zdaje sobie sprawę z tego, w jakim stopniu europejska i nawet katolicka umysłowość jest zluteranizowana. Luter się zbuntował i od tej pory bunt stał się czynnikiem kierującym Europą. Bunt w moralności, bunt w muzyce, w literaturze, w postawie indywidualnej i grupowej. Wielki przerost indywidualizmu jest buntem przeciwko prawom powszechnym. Ale nie o tym chciałem pisać...

Rozpowszechnionym błędem jest mniemanie, że miłość polega na uczuciu, pociągu, sympatii, na przychylnym nastroju, pożądaniu i tylko na tym. „Rozchodzę się z mężem, bo jego nie kocham” — mówi często piskliwym głosem młoda kobieta. Od starej takiego zdania się nie posłyszysz, a przecież i ona nie jest pozbawiona uczucia — i ona może kochać lub nie. „Serce nie służy”, — ten fałszywy banał ogłupiał przez sto lat młode pokolenia gotując wszystkie dzisiejsze katastrofy domowe, upowszechnione przez prawo rozwodowe. Czy jest taki jeszcze dziś, kto świadomie nie uznaje tego frazesu, który może nie dziwić u podlotka, ale w ustach dojrzałego człowieka daje prawo wątpliwości o jego inteligencję.

Przecież nie ma lepszego, wierniejszego, bardziej poświęconego służy niż serce i tylko w tej roli może być ono pożyteczne. Uczucie jest tylko elementem, żywiołem. Siłą w miłości ludzkiej. Gdyby polegała ona tylko na tym, byłaby miłością nie ludzką, pociągiem czysto zwierzęcym. Jak każdy żywioł wymaga ona opanowania, organizacji.

Weźmy dla porównania ogień. Pozostawiony samemu sobie spali on wszystko, co się znajduje w pobliżu i szybko zginie pozostawiając po sobie popiół, zgłiszczą, kościotrupy dymników. Ale zorganizowany w odpowiednim urządzeniu, w systemie kanałów, będzie gotował, ogrzewał i w ogóle spełniał czynności niezbędne. To samo jest z każdą ludzką namiętnością. A szczególnie z miłością. Jesteśmy dziś świadkami tego, jak pierwotne, barbarzyńskie, ciemne, nierozumne traktowanie miłości niszczy ludzkie szczęście indywidualne i społeczne, niszczy kulturę, morduje nawet pokolenia im statu nascendi.

Właśnie ten żywioł wymaga szczególnie przemyślnie i mocno zbudowanego urządzenia, które by mogło zabezpieczyć przed zniszczeniami i zarazem umożliwić jak najekonomiczniejsze wyzyskanie siły miłości dla szczęścia jednostek i społeczeństw.

MAŁŻEŃSTWO, ALE JAKIE?

Urządzeniem takim jest małżeństwo. Jest ono wyrazem nieufności do serca, które w człowieku jest elementem raczej zwierzęcym, do wszystkich jego niskich, przewrotnych, podłych, nierozumnych, anarchizujących poruszeń. Jest ono też wyrazem bystrej, rozumnej, dalekowidzącej pieczołowitości nad obu zainteresowanymi stronami i nad owocem ich pożytku. Bo w pożytku dwojga ludzi z sobą w małżeństwie, które jest przecież całkowicie wydaniem się w ręce drugiej osoby, najłatwiej jest spełnić najokropniejszą zbrodnię zdrady zaufania.

Małżeństwo jest dobrowolną umową. Dużo się o tym mówi, a jakże mało wnika się w treść tego wyrazu. Umowa angażuje cały honor, całą moralną wartość umawiających się stron. Weźmy przykład: siadają gracze do pokera. Przed rozpoczęciem gry nic nie przysięgają, nic nie rozstrząsają, nie ma przy tym wójta, ani księdza. Po prostu gracze ustalają mniej więcej maksymalną stawkę i grają, piącąc natychmiast przegraną. Taka jest milcząca umowa. Jeśli któremś braknie gotówki, a ma dobrą kartę, gra, o ile mu pozwolą na kredyt. Gdy z kartą królewską natknie się na wolor czy pokera, może przegrać tyle, że nie będzie mógł oddać. Co się wtedy dzieje? Gięstwo, drobiaz. Jeśli w ciągu 24 godzin nie odda długu, wybija dziurę w swym głupim mózgu i to w tym przekonaniu, że jego stan umysłowy nic na tym nie skorzysta. Pozbawia się życia w przeświadczeniu, że utracił honor, całą swoją wartość moralną w oczach cudzych i własnych.

Rozsądny człowiek powie o nim — idiota — ale coś w rodzaju uznania jednak pozostanie. Przecież tu chodzi o dobrowolną umowę i niewiele to kogo obchodzi, czy jest w stanie ją wykonać. Tak, nawet ludzie światowi, rozumieją, co to jest dobrowolna umowa. A jakby to było łatwo zabierać pieniądze, póki się wygrywa, a w razie przegranej powiedzieć: „Przepraszam, nie płacę, nie gram dalej, bo ja myślałem, że będę tylko wygrywał. Nie zamierzam oddawać swoich pieniędzy tylko dlatego, że ktoś tam ma jakąś kartę, uznaną za więcej wartą od mojej”.

Albo przypuśćmy, że dwaj ludzie zakładają się o grubszą stawkę, w sprawie wyniku meczu bokserskiego. Czy do pomyślenia jest taki zakładający się, który by w razie przegranej oświadczył bardzo zresztą roztropnie: „Nie płacę, ja myślałem, że wygram. Daj pan spokój ze swoimi śnieszonymi pretensjami. Chce pan, żebym panu płacił? Zwarłował pan? Kpi pan? Za co płacić?” Może on tłumaczyć się lekkomyślnością, niedojrzałością (nie wiedział co robi), że układ mu się nie podoba teraz (lepiej późno niż nigdy), że stracił do niego serce itp. — najpraktyczniejszy nawet człowiek zrozumie jego uczucie, ale nim samym pogardzi, jako głupcem i nikczemnikiem.

A przecież takie właśnie położenie i takie są argumenty przeciwników trwałości małżeństwa! Ba, prawo do rozwodu uznali oni za prawo do wolności i najświętszych praw jednostki. Takie stanowisko przyjęła zresztą większość przedstawicieli narodu, w większości państw Europy przez wprowadzenie odpowiedniego ustawodawstwa. Nazwali go postępem. Stanowisko takie — rozumiem to — można zająć, ale też szczerze należy się przyznać do niskich pobudek i nie porównywać go ze stanowiskiem naprawdę wyższym.

Wydaje mi się, że najbardziej wyraziście stanowisko to zostało uwydatnione w projekcie roty przysięgi dla takiego „małżeństwa”, proponowanym przez pewne pismo amerykańskie, a która, o ile pamiętam, brzmi tak: „Ja N. biorę sobie ciebie N, za małżonkę na dobre, ale nie na złe, młodą, ale nie starą, w zdrowiu, ale nie w chorobie, bogatą, ale nie biedną i ślubuję ci, że cię zdradzę przy pierwszej okazji, oraz to, że cię porzucę, jak tylko mnie znudzisz”.

Każdy człowiek o zdrowym rozsądku pogardzi i taką przysięgą i takimi ślubującymi w stopniu daleko wyższym, niż graczem, który nie chce płacić przegranej.

(Dokończenie na str. 6-aj)

1) Operacja — usunięcie wyrostka robaczkowego.
2) Szczypce służące do zaciskania przeciętych naczyń.
3) Nici chirurgiczne.
4) Nici chirurgiczne podwiązuje się podwójnym chirurgicznym węzłem.
5) Po narkozie rozwiera się choremu szczęki

OSTATNIE WAKACJE

Jerzy A. Górski

Przed wielu laty, tak się bowiem powinna zaczynać wzorowo napisana bajka — rok był tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, gołowąs gimnazysta w granatowym mundurku, z niebieską tarczą na lewym ramieniu czytał rozognionymi oczyma dziwną książkę. Tytuł jej był nader prosty: w oryginalnym „Le grand Meaulnes” w polskim tłumaczeniu brzmiało to, nie wiadomo zresztą dlaczego: „Mój przyjaciel Meaulnes” czytał i jednocześnie myślał. Niepokojąca to była lektura — coraz bliższa stawała się granica jutra oddzielająca słońce dziecięcych przebudzeń od księżycy, który przez kilka lat miał wstąpić swe światło w grafomańsko-młodzieńcze wiersze. Każdy dzień przyspieszał przełom, oznajmiały o tym sny i niespodzianie zjawiające się wewnętrzne drżenia. Z poza mgły miał wyłonić się świat. Na biurku leżał „Kad serca”, który tyle bezładnych przeczuć wprowadził w biały ścian pokoju i inny jeszcze tom, opatrzony przez autora równie fałszywie sentymentalną dedykacją jak wulgarnie sentymentalna była jego treść. A jednak takich czterdziestych się nie zapomnia:

Spłowiade jasnych łąk kobierce
Pamięci mej rozbita kłisza
Zostanie we mnie tylko cisza
I łopocące w mroku (czy może w mrokach) serce.

Nadchodzili wakacje, ostatnie wakacje, w czasie których cieszyć się można było śpiewem skowronka... I wtedy właśnie zjawił się Wielki Meaulnes. Szliśmy za nim trop w trop szukając tajemniczej krainy, która w naszym życiu musiała być ogrodem otaczającym myślowy pawilon — mogła rozpościerać się niedostrzeżona tuż za progiem naszego domu. Meaulnes to była wspaniała, wymarzona rola — kiedy się ma lat kilkanaście za niczym nie tęskni się tak wytrwale jak za cierpieniem — jest ono wówczas niemal synonimem szczęścia, za którym wkrótce już wypadnie gonąć. Nie danym nam było jednak kroczyc śladami bohatera powieści — znikł nagle jakiegos wrześniego dnia. Zapomnieliśmy o nim. A mimo to, nie wiedząc o tym, droga, na której znaleźliśmy się w sposób nie przewidziany była dalszą drogą Meaulnesa, drogą Alaina Fournier. Kiedy bowiem wykreślić wypadło z pamięci obraz żywopłotów zasłaniających opustoszałe zabudowania folwarku, kiedy wzbronione zostały książkowe wzruszenia — aktualności nabrały słowa Peguy:

Hereux, ceux qui sont morts dans une juste querre.¹⁾

Słowa, które wyrzyto na grobie Wielkiego Meaulnesa.

POWRÓT

WIELKIEGO MEAULNESA

I oto po latach znowu wzięło się do ręki tę książkę z dziwnym nieokreślonym uczuciem, na które składa się radość, ciekawość i odrobina lęku. Po ośmiu czy może dziesięciu nawet latach powracal do nas Wielki Meaulnes, przyjaciel pożegnany w przededniu wojny. Zdawało się, że znów otoczy nas naszój niepokoju, nastrojów dni kiedy życie wydaje się zwycięską wyprawą po szczęście. Daremne zluźnienia!

Nie odnaleźliśmy w Meaulnesie dawnego przyjaciela, nie potrafiliśmy się wzruszyć jego przeżyciami. I w miarę jak zagłębialiśmy się w tę lekturę rozpraszało się wspomnienie, które nachodziło nas nieraz w dniach zawieruchy. Prysł nastrojów tajemniczości, obca stała się radość, nierealny smutek bohaterów, doszczętnie wypelzły wszelkie barwy, zastąpiły w chłodnym bezruchu żywej niegdys postaci.

Nie odnaleźliśmy Wielkiego

Meaulnesa i co boleśniejsze nie odnaleźliśmy siebie samych. Zniknęła nagle niezaspokojona tęsknota — zimnym spojrzaniem ogarnęliśmy w zwierciadle książki dwie obce da lekie postaci: jego i nas samych. Zamknęliśmy świeżo wyjęty tom i odłożyliśmy go w głąb bibliotecznej szafy, aby nigdy już doń nie wrócić. A jednak niezapomnieliśmy łatwo tej kłębki, nie mogliśmy zapomnieć podobnie jak nie udaje się wymazać ze świadomości poczucia żadnej kłębki, żadnego rozczarowania.

Zdawałoby się, że nie warto wprost poruszać tak błędnego zagadnienia. Człowiek ulega przecież niezliczonym przeobrażeniom, szczególnie silnym w ciągu długiego okresu przekraczania granicy dojrzałości. Wojna spotęgowała gwałtowność przeżyć, wprowadziła burzliwy zamęt w ewolucyjny, opisany dokładnie w podręcznikach psychologii przebieg duchowych przeobrażeń. Zmieniał się świat, zmienialiśmy się i my — oto cała prawda, nad którą dłużej nie ma potrzeby się zastanawiać. Czy jednak — skrada się pytanie — rzeczywiście wszystko wypadło normalnie, skąd bierze się ów dojmujący żal, śmieszna rozpacz dziecka, któremu odebrano ulubioną zabawkę. Czy naprawdę nie można przetrzymać mostu nad przepaścią lat zamkniętych wymownymi datami 1939 — 1948. A może przepaść jest tylko złudzeniem, może nie ma jej wcale...

OSTATNIA SZANSA

Nie ulega wątpliwości, że w czasie istnieją nieuniknione granice wyznaczające odrębne fazy naszego życia, nawet wtedy, gdy zawarty w nich czas nie zasługuje na miano „nieczłowieckiego”. Prawo odrzucenia złudzeń, prawo dominującego realizmu działa zawsze. Nasza obojętność stwierdzona na tak mało w gruncie rzeczy ważnym przykładzie, wystąpiłaby pewnością i w wypadku, gdyby treść ostatnich lat nie była tak tragiczna. Historia tajemniczej eskapady Meaulnesa musi wywołać pobłażliwy uśmiech znużenia. Bezpowrotnie skończyło się Królestwo Baśni. Dla nas zarażonych śmiercią, zarażonych nienawiścią — jak ze zgrozą nazywają nas publicyści — skończyło się ono znacznie wcześniej niż u innych w koleń. Rzeczywistość to właśnie walczy się pałacyk, Yvonne w skromnej sukience i stary pan de Galais na dychawicznej szkapie. A tym wzruszyć się dziś nie potrafimy; nie ma potrzeby szukać podobnie okliwych obrazków na kartach książki. Pozbyliśmy się sentymentalizmu wieku dojrzwania. Jak dotąd wszystko brzmi aż nadto oczywiście...

Pozostaje jednak ta część dziejów Meaulnesa, która wtedy została prawie niedostrzeżona i natychmiast zatarła się w pamięci: historia jego małżeństwa i ucieczki. Wówczas były to w naszych oczach tylko pozbawione sensu fakty, może mieliśmy nawet pretensje do autora o niepotrzebne komplikacje. Nie myśleliśmy przecież o jakiejkolwiek analizie psychologicznej. W naszym pojęciu bohater powieści nie przeżywał, przyjmował tylko do wiadomości tyżące się go zewnętrzne zmiany i bąnł konsekwentnie przez gęszcz swych perypetii niby Robinson czy Winetou aż do ostatniego słowa: koniec.

Teraz ostatnie rozdziały Wielkiego Meaulnesa powinny były nas bardziej zająć, wzbudzić jakieś refleksje. Tak się jednak nie stało — przebrnęliśmy przez nie z równą jak poprzednio obojętnością. Chwilami budziły nawet niesmak, roz-

jątrzały. Nauczyliśmy się przecież patrzeć bezdusznym wzrokiem obserwatora na te wycinki ludzkiego życia, które literaci zowią dramatem. Przerzucmy raz jeszcze tych kilkadziesiąt stron: może zapłatała się wśród nich jakaś niewidoczna na na pozór ścieżyna prowadząca z Królestwa Baśni do naszego DZIS. A skoro ją znajdziemy, kto wie, czy nie zostanie rozwiązana za gadką psychicznego oblicza naszego pokolenia, czy nie wykryjemy dotąd morbus contagiosa, niemniej groźnej niż tropiona wszędzie śmierć i nienawiść.

Czytajmy uważnie... Coraz wyraźniej opada z twarzy Meaulnesa teatralna maska. Z poza kolorowej mgły, literackiej fikcji wyłania się zwykły człowiek — oto staję przed nami właściwy bohater, dziecięce równie tragiczne jak nasze pokolenie — Alain Fournier. I jednocześnie zaskakuje nas obecność nowego problemu, rozumiemy już, co było przyczyną naszego wzburzenia. Uderzenie poszło prosto w serce. Droga została odnaleziona. I oto teraz zamajaczyła ostatnia szansa wykucia brakującego ognia. Tylko, że przed tym trzeba rozstrzygnąć — czy to tragedia Meaulnesa, na czym polegał ów straszliwy problem, który zburzył jego spokój przetrwał w nim aż do chwili, gdy padł na polu walki rażony niemiecką kulą. Po prostu problem miłości do kobiety.

ODNALEZIONY MEAULNES

Od razu wszystko staje się jasne wiemy już skąd wziął się ów fałszywy, rażący ton. W naszych czasach można śmiać się tylko z miłości Meaulnesa do Yvonne de Galais, z nastrojów opiewających romantyczną przygodę — zwyczajną bzdurę. Miłość od pierwszego wejrzenia, pałająca się zrazu życiodajnym, a później niszczycielskim płomieniem poprzez lata rozłąki. — Iż w tym drażniącego patosu, iżż poetycznego kłamstwa powtarzającego z uporem na przestrzeni stuleci. Jesteśmy pokoleniem, twierdzą to na własny rachunek, które nie dało się otumanic; pokoleniem szczęśliwie wcześniej wyleczonym z romantyzmu we wszelkich dziedzinach.

Czy aby na pewno szczęśliwie? Jak ułożą się losy naszych dzieci, które nie przejdą przez Królestwo Baśni, nie będą błądzić śladami Augustyna, odziedziczą gotowe formuły życiowego realizmu. Czy na prawdę zdobędą przewagę nad nami ostatnią generacją błędnych rykerzy młodości. Nie odpowiadamy zbyt pochopnie! Przypomnijmy sobie lepiej raz jeszcze tamtą bajkę: pewnego dnia Wielki Meaulnes spotkał Yvonne de Galais. Alain Fournier, dziewczynę imieniem, jak chcą tego biografowie Anne, każdy z nas...

Tak, zaczyna się zawsze od spotkania ideału, od rozbudowywania go, upiększania wewnątrz samego siebie, od pierwszej wielkiej, czystej miłości. Zbyt dużo napisano już na ten temat prac naukowych, dobrych i złych powieści i teatralnych sztuk, by raz jeszcze opowiadać banalne historie ideałów rosnących w nieskończoność i nagle sięgających bruku. Wtedy podobno dopiero zaczyna się życie. Od utraty Królestwa Baśni, od własnego upadku. I na tym właśnie tle rozgrywa się dramat. Głos młodego de Galais wywabiający Meaulnesa w noc poślubną na wędrownkę w nieznanym, to nie tylko przypomnienie zawartego niegdys sojuszu przyjaźni, to przede wszystkim powracająca fala sumienia, świadomość

krzywdy wyrządzonej sobie i komuś jeszcze, to głos utraconego Królestwa Baśni. Dlatego trzeba było zatrzęsnąć drzwiami cichego domu i ruszyć a la recherche du temps perdu.²⁾

W brulionie „Wielkiego Meaulnesa” znalazło się takie zdanie, nie wiązane podobnie jak szereg innych obszernych fragmentów do książkowego wydania: „Minęły dwa lata. Meaulnes miał kochankę. Z nudów?” Co mogło pchnąć go ku Walentyńce? Wspólne cierpienie, litość, zmysłowe pożądanie, miłość? Za wyjątkiem miłości może po trosze każde z tych uczuć — zaważyło jednak coś zgoła innego. W donkiszotowskiej walce o ideał czas pracuje przeciwko nam: stopniowo zacierają się kontury marzeń, wkłada się zwątpienie, wieczorem po ulicach miasta spacerują przytuleni do siebie młodzi ludzie. Rodzi się bunt, coraz żywiej krąży krew w żyłach, umacnia się poczucie bezcelowości dalszej walki, niewiara w możliwość osiągnięcia ideału. I wtedy — „przestałeś wieniec, mój wielki Meaulnesie w raj!”³⁾ Takie jest prawdziwe podłoże romansu z Walentynią. A Walentyńska zawsze w odpowiedniej chwili staje na naszej drodze...

CO TO JEST MIŁOŚĆ

Nie myślę tu roztrząsać problemu przedmałżeńskiej czystości, ani załamywać rąk nad oplakany stanem moralnego zdrowia młodzieży. Jeśli czasami pojawiają się te sprawy na horyzoncie — tym lepiej, chociaż stanie się to mimo woli i marginesowo. Chciałbym jedynie, bez nadziei znalezienia definitywnego rozwiązania zastanowić się przez chwilę nad tym, czym jest na prawdę miłość, jak wyróżnić ją z kłębówiska targających nami pasji. Chciałbym wspomóc tym, którzy borykają się z własnym zwątpieniem i tym, którzy zarażeni cynizmem, zarażeni „życiem” idą siłą inercji naprzód, zostawiając na swej drodze, często nieświadomie, — krzywdę.

Na czym polega istota miłości? Czy rzeczywiście istnieje jedno tylko UCZUCIE o różnych skierowaniach: miłość i nienawiść. Stanowczo nie. Uczucia egzystują równolegle w zakamarkach jaźni i wyzwalają się pod wpływem naszej woli. Nakazano nam miłować wszystkich jednakowo, w równym stopniu bez żadnych gradacji. Boviem jest jedna tylko miłość: rodziców do dziecka, siostry do brata, dziecka do matki, męża do żony itd., itd. A miłość ta to nie inne go jak miłość bliźniego płynąca z miłości do Boga. Ona to, której miarą, jak pięknie powiada ojciec Ricquet, jest miłość bez miary, stanowi niezbędny warunek naszego stosunku uczuciowego do ludzi. Jeśli kochamy Boga potrafimy kochać i ludzi. I to uznajemy musimy za jedyną odpowiedź. Stąd płyną już dalsze definicje naszej miłości do ludzi — jej czystość bezgrzeszności, i postulat wierności. Zdawałoby się, że sformułowanie powyższe nie nastroża żadnych trudności w zrozumieniu, a zatem nie powinny powstać żadne przeszkody w dostosowaniu się do zawartych w nim nakazów. Tymczasem właśnie na gruncie tzw. miłości zarysowują się najbardziej nekające konflikty wewnętrzne.

W POGONI

Zdarzyło się komuś sklecić frazes: życie jest gonitwą za szczęściem.

¹⁾ Na poszukiwanie straconego czasu.

²⁾ Brulion „Le grand Meaulnes”.

ciem, wiecznym poszukiwaniem miłości. Stale doświadczamy iluzji jej znalezienia, iluzji, po których rozpoczynaniu tym natarczywie rozpoczynamy poszukiwania. Taki pogląd prowadzi wprost do koncepcji błędnego koła, do perwersyjnego ujęcia sensu życia jako łańcucha, w którym na przemian występują ból posiadania i łaska utraty. Więć nawet nie iluzja, ale po prostu ból posiadania, znowu śmierć ideału zmusza nas do podjęcia nowej wędrownki. Myślą się jednak i serca nienasycone. Posiadanie bardzo często nie odnosi się do spraw ciała — można tak określić również nasyce nie się czyją obecnością, wtedy zaś nie powoduje to bólu, który i tak podlega dyskusji — wytwarza się zwyczajne znudzenie. W każdym razie, pomijając chwilowo przyczyny, nie ulega wątpliwości, że w życiu naszym moment poszukiwania odgrywa poważną rolę, stanowi jeden z głównych motorów. Czego szukamy jednak? Zadowolenia, szczęścia, miłości? Niewątpliwie. Kres naszych dążeń jest znany: wybiega daleko poza zdolność naszego pojmowania. W obrębie doznanych jednak niewątpliwie stawka jest szczęście osobiste. I tu następuje zasadniczy zwrot w tych dociekaniach. Szukamy właśnie ideału, wgardzonego ideału młodzieńczych lat, szukamy go wbrew wszelkim kompromisom i oświadczeniom. — Tylko zbyt często kapitulujemy, tylko zbyt często przewracamy się o byle przeszkodę.

WIĘC JEDNAK IDEAŁ

Kocha się w życiu, pamiętajmy o tym, tylko raz, tylko jedną kobietę. Obojętne czy rzeczywistą, czy jedynie jej wysublimowane uczuciem wyidealizowane wyobrażenie. Meaulnes Kochał Yvonne, Alain Fournier Annę — kobiety nierzeczywiste — i dlatego obaj musieli stracić grunt pod nogami. Wstrząs był zbyt silny. Czy znaczący, że należy zawsze opierać się wyłącznie na rozumowych przesłankach, przesączać przez nie uczucie, stworzyć jakiś szczególny proberz przyszłego szczęścia? — Nie przeczę, choć obojętne uważam ten system za nieco perfidny! Sztuka życia wymaga przede wszystkim roztropności — każdy ideał można sprowadzić do normalnych ziemskich rozmiarów, nie niszczyć go tym samym. To leży całkowicie w granicach ludzkich możliwości. Ludzkich, to znaczy właściwych normalnym, przeciętnym ludziom, a nie powieściowym bohaterom, którzy najczęściej stanowią interesujące okazy kliniczne. Czy ma to miejsce i w omawianym wypadku? Raczej tak; nie trudno dostrzec u Meaulnesa pewne objawy przehisteryzowania, koturnową choć absolutnie nie podświadomie przybraną pozę chorobliwie bezkompromisowy samokrytycyzm. Należał do ludzi, którzy wskutek niesłuchanie rygorystycznego stosunku do siebie samych z reguły burzą wszystko, co zdołali zbudować. Wiem, że narażam się tu na zarzut uznawania słuszności kompromisu — toteż wyjaśnię krótko: nie chodzi o kompromis — brak umiaru jest zawsze wadą.

IDEAŁ POZOSTAJE ZAWSZE ŻYWY

Zaznaczyłem już wyżej, że nigdy chyba nie uda się całkowicie wyświecić tego problemu. Pozostaną niedomówienia spowodowane naturalną bezradnością wobec zasadniczych różnic psychicznych między ludźmi. Jeśli zapyta ktoś po czym poznaje się miłość, czy można wprowadzić z garści abstrakcyjnych wskaźnik — nie nauczymy go niczego. Miłość sama przez się jest miarą, nie mięci się w kategoriach in-

¹⁾ Szczęśliwi, którzy padli w wojnie o słuszną sprawę.

TYDZIEŃ KULTURALNY

PRAWYKONANIE SYMFONII TURSKIEGO

18 września w Londynie wykonana zostanie po raz pierwszy nagrodzona złotym medalem olimpijskim Symfonia Zbigniewa Turskiego. Prawykonanie nastąpi na wielkim koncercie symfonicznym, poświęconym muzyce polskiej. Orkiestrą dyrygować będzie Grzegorz Fitelberg. Koncert transmitowany będzie przez radio BBC na wszystkie rozgłośnie Europy i Ameryki.

SZKOŁA DLA 1.000 DZIECI

W Poznaniu wybudowano kosztem ponad 125 milionów zł najbardziej nowoczesną i największą szkołę w Polsce. Szkoła może pomieścić 1.000 dzieci. Będzie ona zawierać w sobie 11 klas nowego typu i 4-letnie liceum pedagogiczne.

ZWIĄZEK ZAW. LITERATÓW NAGRADZA

ZARZĄD Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich postanowił utworzyć dwie roczne nagrody po 100.000 zł każda za najlepsze dzieła z dziedziny krytyki i poezji. Nagrody przyznawane będą na corocznym walnym zjeździe delegatów oddziałów ZZLP. Po raz pierwszy przyznane zostaną te nagrody w listopadzie br.

100.000 zł to suma niewielka. Zawsze jednak coś, Zawsze pewna rekompensata dla pisarza tworzącego dzieła „nierentowne”. W dziale krytyki kandydata nie trudno wytypować. Nagroda za poezję może jednak wywołać w ZZLP bardzo interesującą burzę. Pomyśleć: Ważyk, Jastrun... Nie zazdroścę członkom jury.

DNI ZAMOŚCIA

POD protektoratem ministra kultury i sztuki odbyły się w dniach 7-14 września „Dni Zamościa”. W ramach imprezy urządzono wystawę obrazów malarzy lubelskich i krakowskich, popis chórów szkolnych, koncert orkiestry ludowej Namysłowskiego, wieczór autorski Wł. Broniewskiego i... odczyt dra Sawickiego pt. „Atmosfera bomby atomowej”, po którym to odczytaniu ściągnięto flagi z masztów. W pierwszym dniu imprezy otwarto Muzeum Martyrologii na Rotundzie.

Nowość!

Jana Dobraczyńskiego

„PRZĘDZIWO JOLANTY”

dramat

DO NABYCIA WSZĘDZIE

Jan Dobraczyński

„WYBRAŃCY GWIAZD”

powieść

str. 304 zł. 800.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

KSIĄZKI P.Z.W.S.

PAŃSTWOWE Zakłady Wydawnictw Szkolnych ogłosiły, iż produkcja podręczników PZWS do dn. 1.VIII 1948 r. wyniosła 40.323.399 egzemplarzy. W druku znajduje się ponad 5 milionów egzemplarzy. Na bieżący sezon szkolny PZWS dostarczą 17,5 miliona egzemplarzy wszelkich podręczników.

ANDRZEJEWSKI I IWASZKIEWICZ PISZA SCENARIUSZE

POD kierownictwem artystycznym Wandy Jakubowskiej rozpoczęto plenerowe zdjęcia do dwu nowych polskich filmów pełnometrażowych. Pierwszy z nich pt. „Robinson warszawski” realizowany będzie wg scenariusza napisanego przez Jerzego Andrzejewskiego. Ma to być opowieść o losach człowieka ukrywającego się przed Niemcami w ruinach zburzonej

stolicy w okresie powojennym. W rolach głównych wystąpi J. Kurkiewicz i Zofia Mrozowska. W realizacji filmu bierze udział ekipa francuska. Przy kamerze pracuje operator Isnard.

Drugi film, „Dom na pustkowiu”, powstaje według scenariusza Jarosława Iwaszkiewicza. Treść filmu związana jest z okupacją.

ZGON PROF. I. PIENKOWSKIEGO

6 września zmarł w Krakowie prof. Akademii Sztuk Pięknych śp. Ignacy Pieńkowski, wybitny artysta malarz.

Zmarły pracował w Akademii Krakowskiej od roku 1915. Zasługą artysty było zerwanie ze szkołą monachijską i wprowadzenie wartości malarzskich reprezentowanych przez sztukę francuską. Do ostatniej chwili swego życia czynny jako pedagog, wy-

kształcił prof. Pieńkowski wielu wybitnych artystów naszego pokolenia. Pogrzbek odbył się w środę 8 września.

DOPIERO W LUTYM KONFERENCJA UNESCO

NA zalecenie sekretarza generalnego ONZ trzecia ogólna konferencja UNESCO, która miała odbyć się w Bejrucie w październiku br., została odroczone, gdyż termin jej kolidował z okresem obrad zgromadzenia ogólnego. Nowy termin otwarcia konferencji wyznaczony został na dzień 10 lutego 1949 r.

NOWE WŁADZE ŚLĄSKIEGO ODDZIAŁU ZZLP

DNIA 4 września br., odbyły się wybory nowego zarządu Oddziału Śląskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich w Katowicach. W wyniku

tychże, prezesem Oddziału został wybrany Jan Brzoza. Do zarządu weeszli: Zdzisław Hierowski i Jan Baranowicz, Komisja Wydawnicza: Mieczysław Frenkel, Wilhelm Szewczyk i Andrzej Wydrzyński.

Delegatami na Walny Zjazd ZZLP w Szczecinie zostali wybrani Jan Brzoza i Zdzisław Hierowski.

Do P. T.

Prenumeratorów

Uprzejmie prosimy o wpłacenie zaległych prenumerat w/g sum zaznaczonych na czekach w monitach wysyłanych pod ich adresem

Wędrowniki po scenach polskich

Opera poznańska w Warszawie

(Myśli o operze, ciąg dalszy)

Miesięczne stagione opery poznańskiej stanowiło dla muzycznej publiczności warszawskiej, przeżycie dużej wagi. Miara zainteresowania były długie „kolejki” oczekujących na otwarcie kas biletowych, chociaż nie chodziło tu przecie ani o film z Flipem i Flapem, ani o niezawsze zdrową sensację sportową.

Na tle tego olbrzymiego, a w pełni zresztą zasłużonego powodzenia dość dziwnie wygląda wszystko to co się przez cały czas trwania stagione na temat spektakli opery poznańskiej pisało.

Nie dziwię się, że popołudniówka, poświęcająca dzień w dzień półkolunna na sprawy sportu, premiery operowe zbywała trzydziestoma równie nonsensowymi jak apodyktycznymi w sędzi wierszami. Dość jednak nieprzyjemnie musi zaskoczyć fakt, iż pismo zachowujące zwykle mentorski ton w stosunku do innych, pismo uchodzące w oczach własnych za poważne, zbyło wydarzenie tak dużej wagi streszczeniem artykułu napisanego do programu przez dyrektora opery dra Zygmunta Latoszewskiego.

Równie interesującym (ujemnie) jest fakt, iż znany muzykolog, podpisujący się zrozumiiałym dla wszystkich krytonimem, większość słów na pisanych na temat jednej z premier, poświęca omówieniu strony technicznej spektaklu, zostawiając na zagadnienie muzyczne kilka wierszy o treści kompromitująco zdawkowej.

Wszystko to razem nasunąć musi bardzo poważne zastrzeżenia pod adresem głosów dość buńczucznie dwa lata temu wypowiedzianych w „Ruchu muzycznym” o ograniczeniu prawa wypowiedzi publicznych na tematy muzyczne do uprzywilejowanego, a bardzo nielicznego grona wiajemniczonych, do grona tzw. fachowców. Jak się okazuje muzycy i muzykologowie albo nie potrafili, albo nie chcą na temat tak im bliskich nic rozsądnie powiedzieć. W tej sytuacji wydaje mi się wystarczająco usprawiedliwionym fakt, iż w sukurs fachowcom spieszą laicy.

Starałem się już trzy tygodnie temu zwrócić uwagę muzyków na pewne błędy popełniane przy realizowaniu oper. Szło mi wówczas o aspekty teatralny tych widowisk. Dziś pragnę wysunąć szereg innych spostrzeżeń. Z góry zastrzegam, iż każdą przekonywującą reakcją krytyczną przyjmę z pełną pokorą, jako należną mi odprawę. Trzeba się uczyć. Przy braku nauczycieli trzeba zostać samoukiem.

Według opinii wszystkich moich poprzedników, za clou stagione należy uznać spektakle „Aidy”. Zgoda. Opinię tę przyjąłbym bez zastrzeżeń gdyby była ona czymś poważnym umotywowana. Nie może mi bowiem przemówić do przekonania powszechnie stosowany argument o najefektowniejszej i najstarszym wystawie. Przecież nie to chyba decyduje o wartości opery. Przeciwny widzę łatwiej strawi barwniejszą, jako widowisko „Aidę”, niż kameralna (jeśli tak można określić) „Tosca”. Wydaje mi się jednak, iż decydującym argumentem winien tu być wynik porównania wartości muzycznych dzieł

Verdiego i Pucciniego. Będem oczywistym i zasługującym w pełni na wytknięcie jest, gdy Kazimierz wracający z wojny — w akcie trzecim „Hrabiny”, całuje na powitanie w rękę z równą swobodą i Hrabinię i młodą Bronię; błędem wymagającym co szybszego usunięcia jest fakt, że w wielu długich partiach mówionych „Hrabiny” tylko jeden p. Szpingier, radził sobie jako tako z recytacją, kiepskiego zresztą wiersza, ale błędy te, zachowując pewien wpływ, nie mogą decydować o ostatecznej ocenie przedstawienia operowego. Ważniejsze bowiem jest to jaka jest i jak została wykonana część w operze najsłabsza, część muzyczna. O tym mówiło się mało.

Ocena spektaklu operowego winna polegać w pierwszym rzędzie na analizie partytury, na omówieniu pracy orkiestry, chóru i solistów. Wszystko inne stanowić może tylko i wyłącznie uzupełnienie.

Orkiestra opery poznańskiej, mimo koniocności znacznego uszczuplenia zespołu, zdała swój egzamin lepiej niż dobrze. Było w tym może zbyt wiele tradycyjnej poprawności, ale mniejsze to zło, niż nieumiejętne silenie się na oryginalność. Pełne brzmienie uwertury do „Hrabiny”, usłyszeliśmy wprawdzie dopiero na pierwszym koncercie Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (8.IX.48. w sali „Roma”), pod batutą Grzegorza Fitelberga, ale to wcale nie umniejsza wartości występów zespołu poznańskiego, jeśli się jego pracę ze złością potraktować jako jeden z elementów bardzo skomplikowanej całości. W czystości brzmienia wykonywanych utworów nie było żadnych wątpliwości. Porównanie ze słyszany rok temu zespołem bydlińskim, wypadła korzystnie dla tegorocznych gości.

Podobną przewagę zachowa opera poznańska, gdy zechcemy zestawić obok siebie wartość dwa chóry poznańskie, muzycznie byli bez zarzutu, a obok tego mimo dostrzeżonych usterek, jasnym było, iż na scenie czują się lepiej, swobodnie i pewniej. Szczególnie interesującymi pod względem interpretacji i techniki wykonane były partie chórów w „Aidzie”.

Najbardzieją stroną opery poznańskiej byli solisci. Już analiza przedstawionego nam repertuaru wykazuje, iż zestawiony on został bardzo jednostronnie. Świadczy to, iż dyrekcja dobrze ocenia możliwości zespołu.

Znani z czasów przedwojennych solisci nie osiągnęli już niestety dawno poziomu, a młody nabybek przedstawia się raczej ubogo. Głosy przeważnie słabe, zdolne jako tako utrzymać się na podkładzie orkiestrowym tylko... dzięki zmniejszeniu składu orkiestry. Bardzo zasmucającym jest spadek formy p. Arno. Śpiewak ten nie zrobił żadnych postępów, a na scenie w dalszym ciągu porusza się wręcz żenująco. Jeśli jakieś nazwisko utrzymało się w pamięci widzowi to brzmi ono: Stanisław Roy. Sądzę, iż krytyk — fachowiec dopatrywał się i u niego błędów. W każdym razie jest szczerą nadzieją

pewną, iż śpiewak ten zdołał sobie zaskarbić wiele względów u publiczności warszawskiej.

Specjalną kartę w dziejach opery poznańskiej stanowi balet. Należałoby się niewątpliwie poprzeczając o układy tańców. Można z całą słusznością mówić o błędach interpretacyjnych („Straszny dwór”) o nieprzekonywującej przejrzystości treściowej tematów („Swantewit”), trzeba jednak uznać, iż technicznie balet ten stoi na poziomie rzadko w Polsce notowanym. Tutaj lepiej nie porównywać z zespołem bydlińskim. Na tle doskonałego baletu poznańskiego, na gwiazde pierwszej jakości wyrasta prima ballerina Barbara Bittnerówna. Jasne jest, iż żywiołowość i temperament tej tancerki predystynuje ją przede wszystkim do tańców, w których może ona wyładować swą buj-

na fantazję, ponoszącą czasem, a w dziedzinie improwizacji. Dlatego też Bittnerówna może nieco gorzej czuć się w tańcach klasycznych, które, napewno wbrew swej woli, zabarwia nieco ruchami nawskroś nowoczesnymi, wyrwywającymi się spod kontroli. Dobrze jest jednak, iż wysiłek swój parceluje sprawdziedliwie na oba typy tańca — daje to gwarancję dalszych postępów i zmniejsza niebezpieczeństwo popadnięcia w maniery.

Suma wrażeń wymienionych ze spektakli opery poznańskiej jest bardzo pozytywna i każde dojdzie do głosu słowem podziwu i wdzięczności. Kiedyś to wreszcie Warszawa, przestanie zazdrościć innymi środowiskom, posiadania poważnych placówek operowych.

Mieczysław Markowski

Tęsknota do domu

(dokończenie ze str. 2-giej)

Nie w tym dziwnego, że męża zdradzającego, lub, co gorsza, porzucającego żonę, wszyscy kiedyś wytykali palcem i nikt mu ręki nie podał. Jest to bowiem człowiek bez godności i honoru. Jeszcze gorzej było z niewiernymi żonami. Dziś tacy ludzie są zazwyczaj najbardziej szanowani. Wyszczynani są tylko ludzie rozsądni, uczciwi i honorowi.

Taki stan rzeczy tłumaczy się tym, że dziś ogromnie rozmnożyli się tacy, którzy, jak się wyraża Conrad, „nie liczą się”, którzy nie tylko nie rozumieją, ale nawet już nie czują po ludzku. Choćby jednak byli najliczniejsi, pozostaną zawsze tymi, którzy „się nie liczą”, nie liczą się w budowaniu, tworzeniu, zachowaniu tego, co naprawdę wartościowe; liczą się tylko w niszczeniu wszelkich wartości trwałych. Ale to mniej ważne. Ludzkość bowiem jeszcze istnieje, a pomyśl tylko może istnieć póki między ludźmi istnieje cnota, to jest zdolność, siła i dobra wola. Ludzie

cnotliwi odbudują świat, a dokonają tego przez odbudowę domu, starego, dobrego domu, do którego jego wychowankowie będą tęsknili, aż do śmierci.

Zatrzymałem się dłużej nad małżeństwem poto, żeby wyrazić, a nawet jaskrawo uwydatnić jego istotę i naturę. Jest to niezmiernie ważne. Ktokolwiek chce budować dom powinien o tym być uświadomiony, bo małżeństwo jest dobrowolną umową między dojrzalymi — cieleśnie, umysłowo i moralnie — ludźmi. Tym lepszy dom, im mocniejsze i trwalsze małżeństwo. Toteż było ono zawsze strzeżone pilnie przez prawodawstwa zdrowych społeczeństw. Grecka i rzymska matrona stworzyła wielkość swoich krajów. Chrześcijaństwo jeszcze bardziej obwarowało małżeństwo czyniąc je nierozdzielalnym i uniemożliwiając praktyczne jego złamanie. Henryk VIII odrzucił Anglię od Kościoła a rozvodu nie dostał.

Zygmunt Jakimiak

Prawdziwym przyjacielem

pisma jest tylko —

stały prenumerator!

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

17

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

— Jeżeli przegramy jako państwo?

— Powiedziałem, ja nie wróżka. — Zażył tabaki z woreczka. Powiedźcie temu tam, że teraz nie jest czas na takie rzeczy. Oparł głowę na dłoniach, rozłożył ręce na stole. Zwyczajny poranek — wiatr tylko huczał w ulicy i on jeden stanął aluzję, że nie wszystko zwykle i spokojnie.

— Jedno mnie uderza, Europa w 1914 i w 1939. Jest różnica, wy tego nie możecie pamiętać. Wtedy nadeszło bardziej nieoczekiwanie, ulewa bez chmur.

— Z dużej chmury mały deszcz —

— No, no — mruknął z przestroją. Cała Europa przysięgała wtedy, że w wojnie udziału nie weźmie. Kongresy, rezolucje. Dziś nie ma nikogo takiego jak Jaures... Blum za wiele literatury... Obmyśla nie ma idei rzuca się nagą piersią nawprost. Inni, bez pow szecznego autorytetu. Zresztą, we Francji teraz kto inny nie chce wojny. Przede wszystkim przemysł. Boją się. W 1914 o tej porze — spojrzął machinalnie przez okno na ulicę, jakby sprawdzał, czy pogoda była taka sama — rozmawiałem z Leninem. Śmiał się — bę dzie wojna na pewno. Na pewno — powtó rzzył. Druga międzynarodówka jest biurokra cją i nie jest dobrze poinformowana o na strojach mas. Ja wtedy też chciałem wojny. Pojmujecie położenie? Teraz jest nie do uniknięcia.

Plącił za siebie drobny rachunek za kawę z mlekiem i chleb z rzodkiewkami. Brakowa ło mu bilonu. Kelner nie miał reszty. Poseł Ochorowski skinął ręką i wyszedł: Tadeusz odprowadzał go do przystanku, potem musiał jechać na ulicę Czerwonego Krzyża.

— Ten sam tłum, co wtedy — powiedział Ochorowski, gdy się żegnali. Inaczej ubrany. Wtedy na ulicach widziało się więcej czarne go koloru. Kobiety nosiły duże kapelusze z rondem. Taka była wtedy moda. No, dowi dzenia — uśmiechnął się na pożegnanie.

6.

Postój we wsi X (na stemple pocztowym, który na poczcie odciskano na listach żoł nierzy, nazwa miejscowości była usunięta) nie wiele odbiegał od trybu życia po kwate rach w czasie manewrów. Może był bardziej znormalizowany, dłuższy, miał mimo wszyst ko mniej z doraźnego pogotowia. Dłużył się. Na manewrach można było z grubszym przy bliżeniem obliczyć — dwa, trzy dni, do ty godnia. Teraz nie wiedziało się jak to długo potrwa i czym się zakończy. W oddziałach utrzymywało się, że jednak wojna. Na serio, nikt w wojnę nie wierzył. Od przemądrzałe go ułana Bondarczuka ze Złoczowa do ofi cerów włącznie. Może za wyjątkiem podofi cerów zawodowych, zwłaszcza tych, którzy przeszli przez wojnę światową w armii nie mieckiej. Mieli doświadczenie, wiedzieli, że te rzeczy — jak mobilizacja, jak postawienie pułków na stopę bojową, kosztują i tego się na próżno nie robi — mawiał sierżant Bogac ki z sąsiednich formacji piechoty. Było nud no, gdyby nie konie, gdyby nie patrole roz syłane z rzadka, ułani skiłliby z nudów, przypuszczając Juliusza. Granica była blisko — kilkaset kilometrów. Ale nie dostrzegało się jej istnienia, najwyżej po tym można było jednak się jej domyślać, że w tamtą stronę prawie nikt z cywilnych nie chodził, ani nie jechał. A nocami patrole podsuwały się ku lini granicznej z największą ostrożnością, chociaż to był jeszcze własny teren. Żołnie rze wiedzieli jednak, że tam, gdzieś między zabudowaniami, między drzewami pięknego lasu — jest npl. Z linii granicznej, ciągnącej się wzdłuż wzgórza, widać było na brzegu tamtego lasu (lasu, w który może któregoś dnia trzeba będzie się zapuścić, z pierwszym dźwiękiem serca) krzaki ni to malin, ni to je zyn. Były różne poglądy w tej sprawie, Bon darczuk chciał się nawet zająć z Maciejką o butelkę wódki. Ale Maciejko uchylił się od propozycji: był surowy zakaz zbliżania się do granicy.

— Można by się urwać na patrolu — po wiedział ktoś.

— No, no, spróbuj tylko — mruknął któ ryś z kaprali. — Sam zobaczysz własne pię ty, jak się nogami zakryjesz.

Piechociarze byli w daleko gorszej sytu acji. Ułani narzekali co prawda na kłopoty z końmi, ale musieli bezstronnie przyznać, że pluton piechoty, zakwaterowany w tej sa mej wsi, nie wygrał dobrego losu. Podofice rowie ze szwadronu, oceniano to podczas wy grzewania się godzinami na słońcu, za stodo łami, byli zupełnie przyzwyczajeni. Wprowadzili nastrój koleżeński, już nie było tego gania nia, tego dystansu. Jeżeli komuś z oficerów nie nie strzeliło do głowy, można było mieć święty spokój. Podoficerom ze szwadronu zależało jakby na tym tylko, żeby ten czas czekania w końcu minął. Gdy nie mieli służ by, trzymali się oddziału. Palili papierosy, gadali głupstwa — jak wszyscy, dla zabicia czasu. O dziewczynach. Cały szwadron, rozło kowany w tych kilku wsiach, pisał zapalczy wie listy, oglądał fotografie, niektórzy jed nak nie wiedzieli co pisać do dziewczyn i tym chętnie radą służył ułan Maciejko. Był w cywilu fryzjerem. Na ogół godzono się, że jest to zawód, w którym można nabrać to warzyskiej oglady. Porucznik Mokacki zresz tą sam kiedyś napisał list ułanowi Czachule, który był w całym szwadronie znany jako wyjadacz i nosił nawet przydomek Szwajk. Szwajk odczytał list kilku zaufanym — byli pełni uznania, list swą gorącą i otwartą me todą obrazowania namiętności wywarł na nich wrażenie. Jeden tylko Bogaciński miał zastrzeżenia.

— Ależ to kawał, a nie list. Przecież ona, ta dama, do której piszesz, się obrazi. Jak można dziewczynie napisać, że pani jest jako kwiat trujący — żeby choć jak róża. —

— Nie rozumiesz, frajerze — irytował się Szwajk — róża to pachnie i wszyscy o tym wiedzą. A tam dalej stoi, że ona mnie miłóci ą zatriła. Po prawdzie — splunął przez zęby — to i tak jest, że miłość to głupia tru cizna. Jak arszeniak.

— A z dziewczynami ciągle po wsi się włóczył, niech tylko wieczór przyjdzie — dogadywali mu.

— I, albo to ta jeden? Tak, dla zabicia czasu, remonty przeprowadzam.

— Gdzie mieszka ta dziewczyna? — infor mował się jeszcze Bogaciński.

— W Słupcy.

W Słupcy to może i głupia uwierzy, z Warszawy każdaby ci do sensu odpisała.

Żołnierze włóczyli się z dziewczynami po opłotkach, przy czym piechota wieczorem nie była już w tak złych warunkach i robiła ułanom mocną konkurencję. Po pierwsze, było ich niewiele, w każdym razie mniej niż ułanów. Po drugie, nie byli tak znowu zwy czajnymi zajęcami z piechoty. Ich pluton był plutonem ppanc. i właśnie tym działkom zawdzięczałi wszystkie swoje nieszczęścia. Dowódca plutonu, młody podporucznik Deutschman, nie robiłby sam ze siebie takich kawałów. Wiedzieli, że ich złym du chem jest sierżant Bogacki. Działka należało okopać za wsią. Zadanie zostało wykonane tegoż wieczora, gdy przyszli. Na tym się jednak nie skończyło, raczej od tego się zaczęło. Sierżant Bogacki już nazajutrz rano zameldował porucznikowi, że działka są u stawione nieszczęśliwie. Kładł nacisk na ten wyraz i zaproponował posłuszenie, aby poszli razem obejrzyć pozycję.

— Nasze działka są zdaleka widoczne, to raz. Po drugie, nie panują nad tamtymi łą kami.

— Tam są mokradła.

— Melduję, że właśnie. Właśnie dlatego.

W godzinę później żołnierze z plutonu ppanc. kopali nowe stanowiska. Parę godzin to trwało, w pocie czoła przeciągnęli działka, upozorowali je zielenią i tym razem pod wieczór sierżant Bogacki mógł długo krążyć między stanowiskami działek, potem wzdłuż zagonów, po drogach w okolicy. Po dwu dniach działka znowu zostały przesunięte. W końcu nawet oficerowie ze szwadronu za częli pokpiwać z Deutschmana. Był to chłopak zacięty i ponury, z ostatniej promocji ze szkoły w Komorowie. Nie brał im tych żar tów za złe i nie obrażał się.

— W końcu, chłopcy mają zajęcie. Uwa żam, że żołnierze nie może mieć za dużo cza su. A tu i tak nic nie ma do roboty.

Przywiózł za sobą jakieś podręczniki woj skowe i często można go było zastać nad książką. Nie jeździł do dworu w Szalagach i nie chodził na wódkę. Ostatecznie, przesta no się nim zajmować, żył osobno, w cieniu swojego plutonu. Mimo panien ze dworu było nudno. We dworze też niewiele sobie robiono z wojny. Gości najechało na Zielo ne Świętą sporo, niektórzy jeszcze zostali dłużej. Oficerowie, trochę dla dodania so bie powagi i grozy, straszili panny Miłkow skie, niekiedy zwracali się do pana domu z przyjacielskimi radami, że należy wyje chać.

— Przed żniwami nic z tego nie wyjdzie — odpowiadał. — Byliby szaleni. Mamy jeszcze czas.

Jeździło się brekiem do kościoła, to znowu powozem w sąsiedztwo. We wszystkich możliwych przerwach wynajdowano rozrywki — tańce, karty, pikniki, w najgorszym — i w najlepszym razie — wódkę. Panny były smarkate, starsza, dwudziestoletnia, grasejo wała przy wymawianiu r. Juliusz się z nią droczył, że udaje. Była nieszczęśliwa, że go nie może przekonać. O urlopie było trudno, a jednak w dwa tygodnie po ślubie Ksawe rego i Krystyny porucznik Mokacki zdołał się wyrwać na trzy dni — właśnie rzekomo na ten ślub. Dni były coraz gorętsze, znał już na pamięć całą okolicę. Drogę do stacji kolejowej przez las, w dwurzędzie dębów, obrośniętą krzakami tarnin i rzeczką bez nazwy, wijącą się wszędzie — jak soliter. Ta kie porównanie zrobił rotmistrz; ostatecz nie, rzeczka zyskała nazwę Solita. Nie wia domo kto pierwszy tak przekreślił dowcip rotmistrza. W każdym razie Juliusz po raz pierwszy ten wyraz usłyszał z ust Szwajki.

— Kapałem się dziś w Solicie, co za woda, melduję posłuszenie.

— Gdzie?

— Melduję, że w rzeczce, znaczy się w Soli cie.

Na dobrą sprawę i Szwajk nie miał tutaj pola do popisu. Parę wzgórz, kilkanaście dę bów i brzoś, trochę domów, wiecznie to samo. Jakby nigdy innego życia nie było. Ga zety o tytułach nad depeszami, które niekie dy zdradzały nerwowość. Radio, ilustracje.

Teraz Juliuszowi się wydawało, że trzy dni stanowią diabło szczupłą porcję czasu. Jak je rozłożyć? Naturalnie, wpaść do War szawy. Jeśli się uda, i do Krakowa, odwie dzić kogoś, naturalnie ten ktoś nie był żad ną ciotką. Była to pewna miła młoda osoba. Ale ostatecznie, Juliusz w Krakowie był tyl ko parę godzin. Cały dzień stracił w War szawie. Alexa poprawda dopadł odrazu i odrazu poczęli się namyślać, co dalej robić z tak krótkim czasem. Alex był zdania, że by pojechać na wieś, do Kunowskich. Ju liusz nie miał ochoty, zastanawiał się raczej jak najweselej spędzić dzień w Warszawie, a rano pojechać do Krakowa. Ostatecznie, prawie całe popołudnie przeleżeli na kana pach, tocząc narady i obmyślając plany. Wieczorem byli z Jerzym na kolacji i dopi ero po północy wyjechali samochodem. Przespali się w Jadowicach parę godzin i wcześniej, bo koło dziesiątej rano wybrali się do Włuk. Juliusz miał nawet wątpliwości, czy pora nie jest za wcześnie i czy w ogóle w dwa tygodnie po ślubie można komuś składać wizytę. Alex przesądził jednak spra wę.

— Jaki ja jestem nieszczęśliwy z takim Hamletem! — załamał ręce. — Róbmy głup stwo nawet, ale róbmy cokolwiek. Chcesz, to zostań, ja jadę. — Juliusz wrzucił ra mionami.

— Więc jedźmy. Dwadzieścia po dziesiątej zajechali do Włuk.

— Pan Ksawery jest w stajniach — o świadczył z godnością ogrodnik Małodobry.

— Ale pani to jeszcze śpi. — Nie poznał z początku Juliusza w mundurze. Starał się nadrabiać miną. Dopiero po chwili:

— Ależ to młodszy pan z Jadowic!

Juliusz jednak nie zwracał na niego uwa gi. Co innego w wojsku — tam żołnierz był jednak kolegą. Zwłaszcza teraz: czekało ich może to samo. Tu, na wsi, było jednak ina czej. Nie pochwałali metod ojca, zarzucili je obaj. Grzecznie, jednak na długi dystans. Stary pan Mokacki miał zwyczaj składania wizyt chłopom w okolicy. Przyjeżdżał, ga wędził, zjadał jajecznicę na słońcu. Chętnie oddawał drobne przysługi — do trzyma nia dzieci do chrztu włącznie. Ojciec Stefki Pobelówny przypuszczał nawet, że pan Mo kacki chce sobie zaskarbić popularność, aby „wysię na posła”. Spluwał, zacierał ręce i mruzczał: „A niedoczekanie twoje”. Ale pan Mokacki nie myślał wcale o karierze parla mentarnej. Miał sporo czasu i był naprawdę bardzo towarzyski. I we wszystkich widział ludzi. Takich lub innych, jednak ludzi.

Na szczęście, Ksawery bardzo wyraźnie im się ucieszył. To odrazu rozproszło trochę posępny jeszcze po drodze nastrój Alexa.

— Naturalnie, świetnie. Każę zaraz posłać na Zary po Tadeusza, niech też przyjedzie. Znacie go, prawda?

— Co, on wam matkuje — zapytał Alex.

— Zobaczą.

Tadeusz był na Zarach od dwu dni do piero. Dostał w końcu swój urlop i Krysty na ściągnęła go do Włuk. Bronił się z po czątku, że nie chce przeszkadzać. Zirytowa ła się.

— Nie bądź wreszcie śmieszny. Masz jakieś przesady. Jeżeli nie chcesz mieszkać z nami, możesz przenieść się na Zary. To będzie tak nawet jak Baryka na Chłodku, mała resztówka, szwajcarski domek w kotli nie, pięć stawów obok, pod oknami. Jeden jest tak blisko balkonu, że można popętnić samobójstwo. Wystarczy skoczyć z balkonu, Myślę, że na szczęście jest tam płytko. Jeśli zechcesz, będziesz mógł łowić ryby. Więc za bierz się z mną, ja dziś wracam na wieś.

Od początku nie było mowy o Monice. Krystyna przypomniała ją sobie dopiero w ostatniej chwili, Monika jednak ani słysząc nie chciała o wyjeździe; twierdziła, że nie może się oderwać od zajęć szkolnych. Tade usz jej nie namawiał i Krystyna straciła pew ność siebie.

Byłam niezgrabna z Moniką.

— At, głupstwo — powiedział apatycznie. Parę dni musiał spędzić jednak we Włuk ach. Wydawało się, że Krystyna nie panuje jeszcze w pełni nad domem. Nie chciała go wysłać na Zary — jak mówiła — tak bez niczego. Bez pościeli, bez książek — „jakich znowu książek?” — zdziwił się Ksawery.

— Przecież musi tam coś mieć do czyta nia.

— To nie jest daleko, myślę, że codzien nie będziemy się widywać. Wtedy mu się coś pośle, czy on sam sobie weźmie.

Tadeusz miał nieznośne poczucie, że robi kłopoty, ale mimo to czuł się doskonale. Byli o tyle przyjemni jako gospodarze, że nie uważali za konieczne nie spuszczać go z oczu. Miał swobodę. Spotykali się przy jedzeniu i potem wieczorem. Nie mógł tego nie zauważyć: Krystyna nie czuła się dobrze. Nie umiała wrośnąć w swoją nową rolę, to wszystko przechodziło jej życiowe kompeten cje. Wdawała się w długie rozmowy ze Stef ką, była dla niej serdeczna, przyjacielska. Ksawery słuchał tego z nasępijonym czołem, równie jak potem gwałtownie wniosków Kry styny o wydalenie kucharki. Kolacje były sta le późno, nieledwie o dziesiątej. Krystyna denerwowała się sama, była w stanie niemal ustawicznego podrażnienia. Rano pojawiała się wesoła uśmiechnięta, brała wierzchołkę i jechała do lasu. Czasami Ksawery jej towa rzyszył. Nudziła się jednak.

— Pole i pole. Las, no, to jedno jeszcze. Zupełnie nie rozumiem, co ty widzisz w tym ogrodzie, Tadzium.

— Drzewa kwitną.

— Och, to widać przez okno.

— Nie jesteś ze siebie zadowolony?

Spojrzała mu w oczy.

— Nie.

Wszedł Ksawery. Nie przzerwali milcze nia, jak niezręczni spiskowcy. Był też inny. Tadeusz nie miał zamiaru przesądzać: wy glądał jak ktoś rozczarowany, zmęczony. „Co to wszystko znaczy?” — zapytywał sie bie Czelepiński. „Dwoje dużych dzieci”. Nie czuł się powołany, aby z kimkolwiek z nich zaczynać rozmowę, ten wątek, który przerwa ło wejście Ksawerego. Namyslał się, czy nie napisać do Moniki.

(c. d. n.)

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

nie tylko wiejskiej przed zgubnymi skutkami pijaństwa, zdziwienia obywateli itp. objawów, które w dużym stopniu, pomijając inne czynniki — są wynikiem zacołania kulturalnego, wymaga natychmiastowego skutecznego działania, które moim zdaniem winno polegać przede wszystkim na pracy oświatowo — kulturalnej.

Praca ta musi rozbudzić w naszej młodzieży wiejskiej świadomość istoty, grożącej jej niebezpieczeństwa, musi jej dać odprężenie i radość po pracy fizycznej oraz wewnętrzne zadowolenie po znalezieniu swego celu i misji; musi zmierzać do zniesienia linii rozdziału kulturalnego wewnątrz społeczeństwa i przynieść zrozumienie istoty przeobrażeń naszych czasów. O ile ma być harmonijny nasz rozwój społeczny i o ile ma się odbywać bez wstrząsów, musimy ratować naszą młodzież i to nie tylko wiejską, przed skutkami duchowego rozpręczenia, występującego szczególnie jasnym, gdy zostanie zachwiana równowaga fizycznej i psychicznej strony człowieka.

Tęgo wymaga troska o naszą przyszłość.

Zbigniew Trudzik

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Wyczytałem przed kilku miesiącami w jednym z numerów poczynnego tygodnika „Dziś i jutro” o braku kapłanów. Stan ilościowy został nawet cyfrowo ujęty i porównany ze stanem ilościowym w innych krajach, wykazując w naszym kraju najmniejszą ilość.

Już przed wojną odozuwało się brak kapłanów w Polsce i z tej to szczupłej liczby okupant wymordował jeszcze dużą ilość księży, zakonników i zakonnic, przez co stan liczebny duchowieństwa w dobrej obecnej znacznie się jeszcze zmniejszył.

W powiecie, w którym obecnie zamieszkuję, brak około 30 księży. Słusznie więc W. Panowie bijecie na alarm w tej sprawie, gdyż brak po parafiach duchowieństwa powoduje zanik moralności i etyki chrześcijańskiej i oziębłość w wierze. Młodzież nie słyszy kazań i w ogóle słowa Bo-

żego. Dzieci będą wychowane bez religii, albo w niedostatecznej jej znajomości. Rodzice natomiast nie dbają o wychowanie religijne swych dzieci, bo albo nie mają na to czasu, albo zubożeli w sprawach religijnych i są zniechęceni i apatyczni. Temu złu trzeba bezwzględnie zaradzić.

Samo nawoływanie młodzieży do poświęcenia się stanowi duchownemu, albo do wstępowania do seminarium duchownych nie daje dostatecznych wyników, gdyż studia kosztują pieniądze, których przeważnie społeczeństwo nie ma. A zamożniejsza część naszego społeczeństwa najmniej posyła dzieci na studia duchowne.

Wskazany więc jest, dosadniej się nawet wyrażę, jest koniecznością w chwili obecnej, aby nauka, podręczniki, utrzymanie, ubranie itp. były zupełnie bezpłatne dla tej uczącej się młodzieży, która poświęca się stanowi duchownemu. Pieniądze na ten cel złożyć musi całe społeczeństwo katolickie, a mianowicie:

Ustanowić się powinno jedną niedzielę w miesiącu i przeznaczyć wszystkie pieniądze zebrane na tacy, w wszystkich kościołach, klasztorach i kaplicach, w całej Polsce, na ten cel.

Przełożeni danych kościołów, klasztorów i kaplic, zobowiązani by byli przesłać zebrane pieniądze do Kurii Biskupiej danej Diecezji, na konto specjalne. Każda Diecezja, przesyłała te gotówkę do jednego, albo więcej zakładów, gdzie przygotowuje się młodzież do stanu duchownego.

Należałoby przy wszystkich kościołach itd. potworzyć Komitety, składające się z 4 albo 5 osób cywilnych, które zajęłyby się zbieraniem tych pieniędzy w wyznaczonej niedzielę, przeliczaniem tychże i wysyłaniem do Kurii Biskupiej.

Przy Kurjach Biskupich należałoby też potworzyć Komitety, które zajęłyby się rozdziałem zebranych funduszy pomiędzy poszczególne zakłady. Można by było jeszcze utworzyć Komitet Centralny, do którego wysyłałoby się fundusze ze wszystkich Diecezji, a ten mógłby się zająć rozdziałem tychże do poszczególnych zakładów, w których młodzież uczyłaby się na duchownych.

Młodzież chcąc się poświęcić stanowi duchownemu, mająca zapewnić sobie zupełnie bezpłatną naukę, począwszy od klasy pierwszej, a kończywszy się z dniem wyświęcenia, znajdzie się, a rodzice zgodzą się będą z wolą swych dzieci, mając to przeświadczenie, że na tę naukę dziecka swego nie potrzebują wyłożyć ani grosza, którego im naprawdę brak.

Przy przyjmowaniu młodzieńca na studia, musiałoby być przedłożone poświadczanie od ks. proboszcza z danej parafii o stanie majątkowym rodziców petenta, o jego zachowaniu się itp.

W ten sposób możemy być pewni, że luki zapewnią się kapłanami w ciągu kilkunastu lat.

Dla zapewnienia tym kasom dochodów i ażeby przyszyły kapłan nie miał skrupułów, że tyle lat korzystał z bezpłatnej nauki, można przyjąć od wyświęconego na kapłana zobowiązanie, że będąc na parafii spłacać będzie pewną część z swych dochodów do kasy centralnej, z wyjątkiem misjonarzy, zakonników i zakonnic.

Przypuszczam, że byłoby to jedyną rozwiązaniem sprawy i problemu przeciwdziałania braku duchowieństwa.

Szalcher Jerzy

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Ostatnio ukazała się książka p. t.: „Zwyczajnie towarzyskie”, wydana przez „Modę i życie praktyczne”. Kto jest autorem — nie wiemy; widnieją wprawdzie na okładce dwa nazwiska: N. Jarczewska i K. Witkowski, to chyba nie autorzy, prawdopodobnie projektodawcy okładki.

Jest to wydawnictwo specjalne „Mody”, więc za całość bierze odpowiedzialność „Moda i Życie Praktyczne”, a więc redaktorka naczelna p. Jadwiga Baranowska.

We wstępie czytamy takie zdanie: „w zwyczajach towarzyskich odrzucajmy wszelkie zbędne ceremonie”. Ucieszyłam się z tego, że będziemy mieli nowe, zwyczajnie towarzyskie, ogłoszone na piśmie. Po przeczytaniu książki doznałam rozczarowania, gdyż spotkałam się z takimi zwyczajami, z którymi trudno się myślącemu zgodzić.

Czytamy np. na stronie 6 zdanie: „Kobieta samotna może zaprosić do siebie mężczyźnięgo spotkanego na neutralnym gruncie — u znajomych — na wycieczkach, w lokalach publicznych...” po co? Od pierwszego wejścia już taka śmiałość?

Nie sposób cytować wszystkich co w tej książeczce nie jest zgodne z dobrym wychowaniem i naszym duchem.

Czy prawdą jest, że za porę śniadaniową w Polsce uważa się godzinę 13 — 14, a za porę obiadową 19 — 20. Może to w Anglii, nigdy u nas. Za porę śniadaniową uważa się 7 godzinę, gdy trzeba iść na 8 do biura. Za porę obiadową godzinę 3, po przyjęciu z pracy. Taki tryb prowadzi przeciętny obywatel Rzeczypospolitej.

A z jakiego to dworu jest ta etykieta?

(strona 21). Mężczyzna, chcąc przentańczyć z nieznaną panią, powinien podejść do mężczyzny siedzącego przy niej, przedstawić mu się, prosząc z kolei o przedstawienie go pani i zapytać się jej, czy pozwoli zaprosić się do tańca. Po przetańczeniu odprowadzić swoją tancerkę na miejsce, podziękować jej, uklonąć się całemu towarzystwu i odejść”. Jeśli chce z nią potańczyć to i tym samym pragnie nawiązać rozmowę, a nie tylko odtańczyć i bez słowa, skinąwszy tylko nisko głowę „odpłynąć”.

Względem przyjeżdżnych radzi Pani, by wyjść po nich na stację, gdyby codziennie ktoś ze znajomych przyjechał, to trzeba by tylko odwozić i przywozić gości, a z czego się żyć? Nie każdy może sobie pozwolić na to co Pani, proszę się z tym liczyć!

Widać jak na kolanie pisany jest ten podręcznik, świadczy o tym, tak forma, jak i treść! Brak powiązania, brak jednolitości. Przeczy się temu, co mówio się przed chwilą. (44 str.). „Perfum mężczyznom nie należy używać (45 str.) „nie powinien mężczyzna używać żadnych perfum... więc z kogo „robi pani balona?”

Ogólnie cała książka wraz z fotografiami otyłych osobników, to przykład, jak nie należy pisać i czego nie powinno się drukować.

Koszt książki duży bo 50 złotych! Szkoda na to papieru, możnaby ten papier obrócić na jakieś pożyteczne cele — książki szkolne dla dzieci, gdyż są one stanowczo za drogie z powodu braku papieru.

Janina Jaworska
Łódź

WIELCE SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE

W artykule „Nakręcanie koniunktury moralnej”, zaszła w druku fatalna pomyłka.

Zamiast wydrukowanego: Innymi słowy, Archidiecezja, grająca czołową rolę wśród wszystkich diecezji Polski powojennej i z różnych względów zasługująca na to, nie świadczy miłosierdzia... Administracja Gorzowska nie dzieli się kapłanami z tamtą częścią Ziemi Odzyskanych, a raczej podzieliła się, świadczy, lecz czemuż z tak przeważającą chciwością; czemuż aż tak skąpo?

Powinno być: Innymi słowy, Archidiecezja, grająca czołową rolę wśród wszystkich diecezji Polski powojennej i z różnych względów zasługująca na to, nie świadczy miłosierdzia... Administracji Gorzowskiej, nie dzieli się kapłanami z tamtą częścią Ziemi Odzyskanych, a raczej podzieliła się, świadczy, lecz czemuż z tak przeważającą chciwością; czemuż aż tak skąpo?

Upriejnie proszę o łaskawe zamieszkanie niniejszego sprostowania, a zarazem także dla WPana Redaktora wyrazy czci

Walenty Majdański.

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”
WIEŚ W IMPASIE

Zapowiedz cyklu artykułów o aktualnym życiu wsi zapoczątkowanych reportażem p. Józefa Majkuta p. t.: „Wieś bez kurtyny”, w 34 n-rze „Dziś i jutro”, pozwala sądzić, że problematyka wsi nie jest Szanownej Redakcji obca. Celem garści niniejszych rozważań jest zwrócenie uwagi na nie zmiernie ważne dla całości naszego życia społecznego, zagadnienie rozbudzenia i uaktywnienia pracy kulturalnej na terenie wsi. Całą dotychczasową akcją t. zw. upowszechniania kultury mimo, że stała się przedmiotem zainteresowania literatów, publicystów i działaczy społecznych, mimo, że o formy jej realizacji toczy się ostra polemika na łamach pism, uważam za chybioną. W toku dalszych rozważań postaram się powyższe swoje stanowisko uzasadnić, obecnie zaś pragnę wskazać źródła, z których płynie zainteresowanie sprawami wsi w sferach naszego społeczeństwa, odpowiedzialnych za całość kształtu postępu kulturalnego i społecznego szerokiego mas, nie tylko na wsi ale i w mieście.

Przygniatająca większość ludzi, którym nie są u nas obecne problemy społeczne, rozumie, że jaknajścisłszy i najszybsza konsolidacja wewnętrzna społeczeństwa wokół zagadnień związanych z odbudową kraju i unormowaniem warunków życia, wymaga zerwania izolacji dzielącej wieś od nurtu spraw ogólnonarodowych. To źródło pierwsze. Pracy na tym odcinku mamy jeszcze bardzo wiele. Nie będę głośno jeździł powiem, że w bardzo wielu wypadkach chłop polski nie jest jeszcze świadomym swych celów i dążeń obywatel i trzeba go po prostu dopiero nim uczynić.

Działanie w tym kierunku jest niejako działaniem ogólnym i ono stanowi niemal wyłącznie przedmiot zainteresowań czynników o których wyżej była mowa. Prócz tego istnieje jeszcze źródło drugie, wypływające z samej struktury naszego społeczeństwa w dobrej obecnej, które jakoś dziwnie nie jest należycie doceniane a nawet dostrzegane. Jesteśmy świadkami głębszego niż kiedykolwiek rozdziału między wsią a życiem umysłowym i jego ośrodkami.

Rozdział ten wbrew pozorom wykazuje moim zdaniem tendencję do rozszerzania się. Epokowe zmiany społeczne i ustrojowe dokonują się szybciej niż przeciętny mieszkaniec wsi może za nimi myślowo nadążyć, a tym samym czynnie w nich uczestniczyć. Jest on po prostu oszołomiony tempem zmian i w każdej dziedzinie życia i bardzo często ich nie rozumie; ginie po prostu w ich chaosie i

głębi; wąpi w skuteczność swego działania, popada niejednokrotnie w apatię i bierność. Szczególnie niepokojące jest to zjawisko na odcinku młodzieżowym. Sytuacja ekonomiczna wsi szczególnie na Ziemiach Odzyskanych przy dzisiejszych metodach pracy i ulepszeniach technicznych, stwarza nadmiar rąk do pracy, których w całości nie mogą jeszcze na razie przejąć inne gałęzie gospodarki, a przede wszystkim przemysłu.

W rezultacie chłop rozporządza dzisiaj bez porównania większą ilością czasu wolnego od pracy niż przed kilkunastu lub kilkudziesięciu laty. W interesie zdrowia moralnego młodzieży i ratowania jej równowagi duchowej leży skierowanie jej energii życiowej na właściwe tory. Wieś nie stanie się konsumentem dóbr twórczości kulturalnej bez elementarnej — podstawowego przygotowania i dlatego akcje upowszechniania kultury w jej dotychczasowej formie uważam za bezowocną.

Wyjazdy literatów na wieś, organizowanie wieczorów autorskich itp. osiągnie zamierzony cel dopiero po spopularyzowaniu wśród szerokiego ogółu idei samokształcenia, zamiłowania do czytelnictwa i samouctwa, kiedy książka stanie się chlebem powszednim. Nie jest celem niniejszego artykułu wskazanie form konkretnego rozwiązania problemu, gdyż stanowi to może przedmiot oddzielnych rozważań.

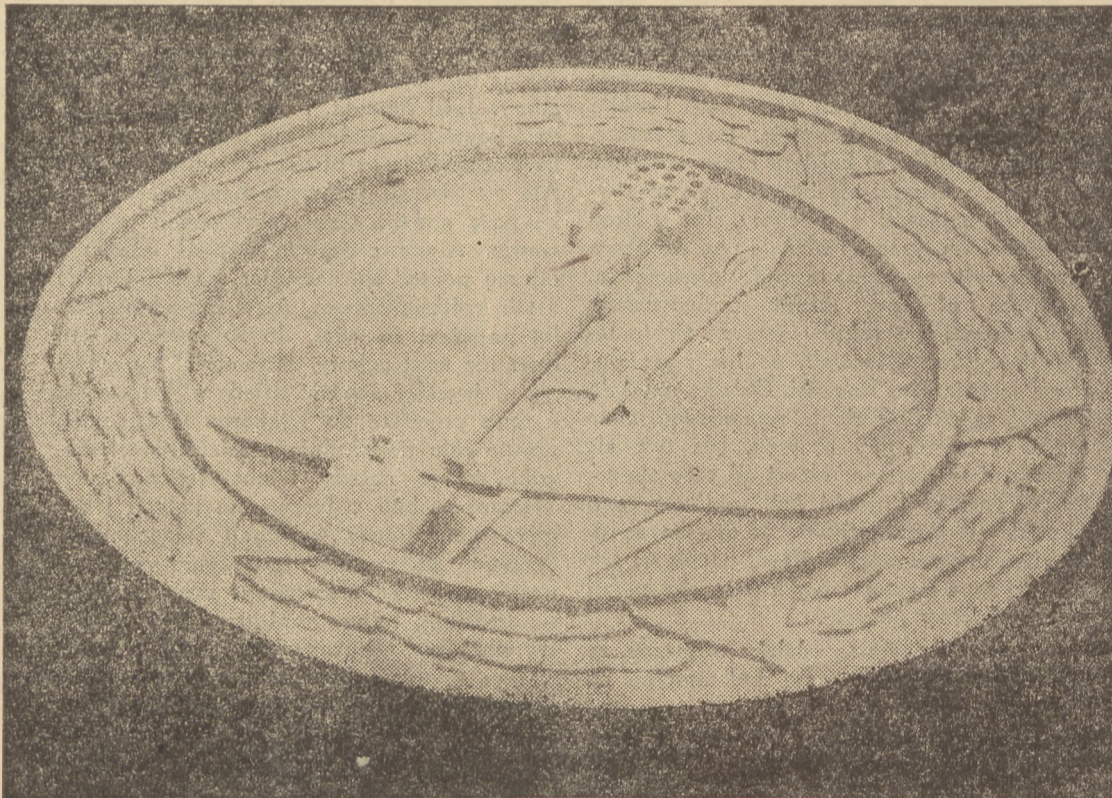
Po latach, gdy zrozumienie potrzeb życia kulturalnego dotrze do świadomości mas, niewątpliwie zniknie niemożliwy, bierny stosunek wiejskiego ogółu do spraw społeczno — kulturalnych. W chwili obecnej jednak ratowanie naszej młodzieży wiejskiej i

WNĘTRZE I WYSTAWA

SP. z O. O.

PLAC GRZYBOWSKI 2.

WARSZAWA



Dekoracja jednego ze słupów Hali Ludowej na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. W wieńcu liści laurowych mikrofon, paleta malarska i książka. Całość obrazuje KULTURĘ DLA MAS. Emblemat wykonany z lekkiej konstrukcji drewnianej obitej dyktą ma średnicę 8 metrów. Cała dekoracja Hali Ludowej projektu inż. arch. Jana Polińskiego, została wykonana w czasie 9-ciu dni przez firmę „WNĘTRZE I WYSTAWA”

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz niedziel i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-57460